

„Włóż to mięso do pralki” czyli szkic do portretu Doroty Pomykały



Fot. RYSZARD KANIEWSKI

Trudno jest napisać prawdę o kobiecie. Podwójnie trudno o kobiecie i aktorce. W naszym „zewnątrznym” widzeniu aktorka jest odbiciem kreowanych przez nią ról, zagranych postaci na scenie, w filmie, telewizji. Jej obraz opatrzymy etykietą i wkładamy do niewiele razy otwieranej szuflady naszej pamięci.

A etykiety bywają różne, np. „młoda romantyczka”, „współczesna dziewczyna”, „dojrzała kobieta goniąca szczęście, a zabiegana między mężem a kochankiem” i tak dalej. Szuflady naszej pamięci są ciasno zatrzaskane i nie lubią przyjmować zmian.

Jak więc przedstawić portret młodej kobiety — aktorki, która z jednej strony ma już u nas odpowiednią szufladę, z drugiej — gdyby ją w niej zostawić — będzie to obraz z gruntu nieprawdziwy.

DOROTA POMYKAŁA nie nosi etykiet. — *Jestem osobą wolną* — mówi. — *Nie przyjmuję niechcianych propozycji i wymuszonych spotkań. Nienawidzę jak mnie „gwałcą”, ale sama też nikogo na gwałt nie narażam. Ludzie uwielbiają etykiety. Wprost są w nich rozkochani. Sąsiad z bramy jest pijakiem, sąsiadka sekutnicą, a koleżanka z pracy jeszcze czymś innym. Dlaczego? Przecież raz jestem dobra, innym razem zła, raz Kocham, a innym razem nienawidzę. Zaraz po studiach zagrałam dwie różne role: Matkę Boską i prostytutkę. („Pastoralka” Schillera i „Wielki Szu” Chęcińskiego —*

(Najpierw się spóźniła)

● Pochodzi z Bytomia.

● Ukończyła krakowską PWST. Jest aktorką Starego Teatru.

● Jest osobą wolną („Obrączka i papier są mi niepotrzebne”).

(Potem się obraziła, bo ośmieliłem się jej przerwać).

● Uwielbia poezję. Czyta obecnie „Sonety” Szekspira w tłumaczeniu Barańczka. Lubi „Małego księcia”.

● Nigdy nie włożyła na nogi szpilek, nie wystąpiła w żadnej kreacji. Nosi skórzane, gustowne kurtki.

● Ludzi „poznaje” po zapachach. Słabość — perfumy.

(Na końcu powiedziała, że płaci za siebie).

przyg. M.T.). *To co, od razu byłam świętą, czy też, no...?*

Życie jest podobne do planu filmowego: jednych się lubi, za innymi się nie przepada. Przypatrzmy się np. takiemu Dustinowi Hoffmannowi, którego bardzo lubię. Czy prawdziwy on, to ten z „Absolwentka”, „Tutsi”, czy może „Rain man”? Może to wszystko razem, a może żaden z nich.

Walczę z etykietami, choć nie buduję barykad. Prowadzę małe studio aktorskie w Katowicach, w którym całymi godzinami rozmawiam z młodzieżą. Żeby głupio i kołtuńsko nie żył, cenili autentyczność, by się nie zniechęcali, nie ball się, co powie ksiądz na religii...

Jest Rakiem. Mówi, że to takie zwierzątko, które gdy ma złe okresy, to robi jeden maleńki krok do przodu i dwadzieścia do tyłu. Jest bardzo zdyscyplinowana wewnętrznie i nie nosi balaganu („Na miejscu Jelcyna to ja bym wysiadła z tego samolotu w Irlandii”).

Działa i myśli bardzo szybko. Zdarza jej się powiedzieć „Włóż to mięso do pralki” i dlatego przyjaźni się tylko z osobami, które nie pytają, dlaczego mają wkładać to nieszczęsne mięso do pralki, tylko wkładają je do lodówki.

— *Do dziś w moim mieszkaniu stoi nie rozpakowana od sierpnia walizka. Wprost tak jak wróciłam z Krety. Przez mój dom, o powierzchni 40 m kw. przewala się mnóstwo gości, ale ja i tak dokładnie nie wiem, gdzie leży określony*

garnek, czy ręcznik. Czasem zdarzało mi się dzwonić z planu filmowego, aby mi coś przysłano. Nie przerywając pracy precyzyjnie dyktowałam temu komuś: że to leży w szafie na górnej półce lub stoi pod stołem. I zawsze tam to było...

Lubi literaturę dotyczącą psychologii. Wierzy w tzw. projekcje wewnętrzne. To znaczy w to, że jeśli się chce kogoś koniecznie spotkać, to można go wywołać. Tak było właśnie na Krecie. Pojechała tam, aby spotkać się z człowiekiem, o którym nie wiedziała, że tam go spotka. Mówi, że ludzie boją się siebie wzajemnie, dlatego też o swych problemach wolą czytać w książkach np. z dziedziny psychologii.

Jest zafascynowana jednostką. — *Ktoś to kiedyś napisał — mówi — chyba Szymborska, że „Jeden i milion u nas zawsze znaczy milion, a w Ameryce, jeden i milion to przede wszystkim — jeden...”*

— *Cieszę się, że ludzie płaczą na „Listach miłosnych” Gurneya. Ludzie przecież tak rzadko płaczą w teatrze. Do płaczu lepsze jest kino. Melissa z tej sztuki ma przecież moje oczy, moją pamięć, sukienkę. Melissa jest wrażliwa i nieszczęśliwa. To wszystko ja jej daję. Trafiała w życie na mięczaka. Tak często bywa, choć kobiety chcą być w życiu prowadzone przez mężczyzn...*

Na pytanie, czy to ona prowadzi w życiu odpowiada: — *Tak, ale peugeot 205. Jestem ostrym kierowcą. Potrafię kłać jak szewc na*

tych wszystkich, którzy nie dają mi miejsca na autostradzie, np. do Katowic. I to wszystkim, co mi przychodzi do głowy. Mówię im prosto w oczy, że są kretynami.

Nienawidzę sztuczności. Przypomina mi się mój pierwszy wywiad telewizyjny, który przeprowadzał ze mną Maciej Szybist. „O co cię zapytać?” — zapytał Maciek. „Zapytaj, jakie mam oczy” — odpowiedziałam. „A jakie masz?” „Zielone”. Nō i zaczęło się. Wchodzimy na wizję, a on zaczyna: „Jakie masz oczy?” Bez chwili namysłu odpowiedziałam: „Cóż ty, Maciek! Przecież przed chwilą mnie o to pytałeś...?”

Gdybym teraz miała zagrać Wandę w „Romansie z wodewilu” (było to zaraz po szkole, w 1980 r. — przyp. M.T.) to zrobiłabym to bez żadnej próby. Tekst nowej sztuki czytam 4-5 dni i już go umiem. Ja do dziś pamiętam listę uczniów mojej klasy z podstawówki. Przy próbach wznowieniowych, tylko wciskam odpowiedni guzik w pamięci.

Jakie role zagrałaby dziś Dorota Pomykała bez najmniejszego wahania? Przede wszystkim Edith Piaf, księżniczkę Eboli z „Don Carlosa” w reż. Laco Adamika i Rosaurę z „Życie jest snem” w reż. Jerzego Jarockiego.

— *Uwielbiam Edith Piaf i tę rolę. Choć propozycja pani Barbary Sałackiej na początku nie wróżyła niczego szczególnego. Zapytała mnie przez telefon, czy mam niebieskie oczy, a ja, bodajże, czy w ogóle mnie zna. A ona, że zna moje podkrążone oczy. Nagrywałam „w ciemno”, byłam mocno zdenerwowana. Czułam, że ta Edith jest mi bardzo bliska, że nie mogę jej skrzywdzić. Do końca nie wiedziałam, jak to wypadnie. Wszystko stało się dopiero jasne po emisji, późno w nocy. Telefony urywały się do trzeciej nad ranem...*

Macierzysty teatr. „Stary”, nie ma obecnie jej za dużo do zafierowania. Gra w „Psychodramie, czyli seksie w życiu człowieka” Jacka Chmielnika, idącej od lat „Księżniczce Turandot” w reż. Rudolfa Zioly. Ale najważniejsza teraz jest sztuka Gurneya. Ma z tego powodu wiele osobistej satysfakcji, a sztuka idzie przy dwustu-procentowej widowni.

Dostała ostatnio wielce obiecujący scenariusz. Nie mówi jaki, aby nie zapeszyć. Obecnie realizuje interesujące widowisko (gra główną rolę) o Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej w jej ostatnim okresie życia, w szpitalu, w Szkocji.

Filmy, które najmilej wspomina? Było ich nieco. „Szklany dom” w reż. Małgorzaty Kopernik, „Wielki Szu” w reż. Chęcińskiego, „Odweity” Tomasza Zygadły, dziennikarka w „Dorastaniu” Mirosława Gronowskiego. Wspomina też „Wygnañców” Joyce’a — spektakl TV w reż. Kazimierza Kutza. Chętnie zagrałaby znów, jak kiedyś na dyplomie w szkole, „Szklaną menażerię” w reż. Krzysztofa Kieślowskiego.

Uwielbia poezję. Tomiki ma porozkładane po całym domu, łącznie z kuchnią i łazienką. Skończyła czytać „Miłość w czasach zarazy” Marqueza. Ma też w kuchni dziesięć książek kucharskich, do których nie zajrzała ani razu...

MARIAN TOPOREK